

Dejan
Vukićević



**ALEJA DZIWACZNYCH
POSĄGÓW**

Dejan Vukićević

Aleja Dziwacznych posągów

Copyright by Dejan Vukićević & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Agnieszka Żuchowska-Arent

Tłumaczenie: Agnieszka Żuchowska-Arent

ISBN 978-83-61184-43-0

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

Dejan Vukićević *Aleja dziwacznych posągów*

Po zbiorze opowiadań *Żaloby*, poprzez który Dejan Vukićević objawił się jako pisarz posiadający swoisty głos literacki, w nowym kręgu opowieści, rozkłada on szeroki wachlarz perypetii, przybliżających nam świat jego prozy i umożliwiających przekroczenie granicy zrozumienia dla daremności naszych zmagania z tak pojmowanym, życiem.

Aleja dziwacznych posągów jednakże zaskakuje wiernych czytelników prozy Vukićevića, przywodząc im na myśl raczej *Kronikę pewnego miasta* Momčila Nastasijevicia czy *Bożych ludzi* Borisava Stankovicia. Podstawową różnicą jest tu jednak punkt widzenia; perspektywa ta umożliwia zupełnie inny zasięg obserwacji, skierowanych na najodleglejsze i najbardziej ukryte obszary duszy. Wymaga to nieco innego "ustawienia ucha" na te tętno, które bije szerząc odwieczne błędy ludzkości...

Radovan Beli Marković

SPIS TREŚCI:

OBSESJE.....	6
Circulus vitae	6
Zimny	7
Martwa dusza	9
Tractatus Mosquitos	10
MITOPEJE.....	12
Człowiek z okrągłego placu.....	12
Argo z Ogigiji.....	13
Centaur	14
Kołysanka dla Abla	15
LE BEAU EST TOUJOURS BIZZARE.....	17
Dwa palce pod sercem.....	17
Listy z kraju.....	18
Aleja spleenu	19

"Le beau est toujours bizarre"

Charles Baudelaire

Jedyne, co jest stwierdzone definitywnie, to fakt, że Borys Baker uprawiał seks oralny z Rosjanką, Angelą Ermakową w Londynie przed dwoma laty. On temu nie zaprzecza. Wszystko pozostałe jest już zwyczajne i całkiem normalne: ona zatrzymała spermę Bakera w ustach, pobiegła do samochodu, gdzie czekała na nią rosyjska mafia, która ją szybko przetransportowała do lekarza; tam Angela wypluła spermę, a lekarz natychmiast dokonał sztucznego zapłodnienia.

Prywatni detektywi Baker'a czatowali ukryci w kontenerze na śmieci czekając, aż Ermakowa wyrzuci pieluszki swojego 10-miesięcznego dziecka, znaleźli na pieluszce znak DNK, który przeanalizowali i stwierdzili, że to rzeczywiście dziecko Borysa. Ponieważ lekarz zużył tylko jeden plemnik do zapłodnienia, pozostaje pytanie: co stało się z pozostałymi 399.999.999? I ile dzieci będzie utrzymywał Baker w najbliższej przyszłości?

„Reporter” (Banja Luka),

21. stycznia 2001 r. , nr 145. , str. 62.

OBSESJE

Circulus vitae

Umarła.

Grudniowy poranek, tak jak czterdzieści dwa lata temu. Czterdzieści jeden, jedenaście miesięcy, dwanaście dni.

Umarła Grozdana.

Mróz ścisnął tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ukryłam się w mrocznym wejściu i zapukałam do ciężkich, dębowych drzwi, skrzypiących niczym jej płuca. Dzisiaj rzeża, chyba że to tylko ze spróchniałych odrzwi odzywają się stare korniki.

Wtedy też wszystko było stare, tylko teraz jest starsze o czterdzieści dwa lata. Deski podłogi, uginające się niczym klawisze fortepianu, kolonialny, przekrzywiony żyrandol, białe milczące ściany, masywny stół, który zrobili jacyś więźniowie, a Grozdana kupiła go na wyprzedaży.

Dziś rano umarła. Wiem, bo jej ciało było jeszcze ciepłe, gdy weszłam i, jak co rano, gdy spała, przystawiłam jej lusterko do ust. Często wydawało mi się, że nie jest zamglone, ale gdy przystawiałam je jeszcze bliżej, zawsze okazywało się, że się myliłam. Co by nie mówić, przy każdej próbie była nadzieja... nawet może nie nadzieja, nie wiem jak to nazwać, przeświadczenie, czy coś...

Zimny

Ubrany w odcienie szarości, by nie rzucać się w oczy, ślizgał się niewidocznie przy ścianach budynków miasta.

Otworzył drzwi sklepu całkiem niezauważalnie, zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć, a potem drzwi automatycznie trzepnęły go automatycznie. To wystarczyło, by automatycznie odwrócił się i ruszył z powrotem. Krocząc szarymi ulicami i oglądając szare twarze pojał nagle nieskończoną głupotę przedsięwzięcia. W rzeczywistości powinien być niezauważalny na co dzień, a nie tylko przy jakichś wyglupach. Zatrzymał się zwrócony ku wystawie i naraż odczuł, to znaczy, zobaczył coś i odczuł pustkę. Można by pomyśleć, iż widział też ciszę, ale niechaj będzie, że ją słyszał. Nieco później zrozumiał, że stoi przed neonową reklamą, na której było napisane EXIT. Co to za kawiarnia, na której jest napisane, że się z niej wychodzi, rozmyślał Mateusz W. Zimny, myśląc o wejściu do środka, ale napis go przed tym hamował. Nie można wejść tam, gdzie jest WYJŚCIE. W niepewności, z zasady zaniepokojony, że doprowadzi go to do załamania nerwowego, aby je zwalczyć zawczasu, zaczął się walić dłonią po głowie. Nie szło mu to, ale szybko to zrozumiał, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki garść ziarenek fasoli i obrzucił się nimi. Nie zważał na przechodniów, którzy patrzyli na niego dość niezwykle, ważne, że się ofasolił. EXIT przypominał mu jego musztrę, lecz podjął decyzję, aby ćwiczenia przed głównym wystąpieniem przeprowadzić choćby zaraz.



Martwa dusza

*„To jest, myślałam sobie,
ta słynna Encyklopedia Umarłych!”*

Szpaler, jako część protokołu, był regularnym sposobem, powitania nowicjusza i ja, z nie rozpakowanym kufrem przy nodze, z gazetami o bombastycznych nagłówkach pod pachą, stałem trochę zmieszany, w niecodziennej roli tego, który przyjmuje gardę honorową. To, że przybywam ze stolicy, jeszcze bardziej ich przerażało, napępniało powagą, szacunkiem. Strach już stężał, widać, że oni też czytają gazety. Uścisnąłem ręce wszystkim; byli tam zarówno tacy, którzy w porę zauważyli, że studiowanie literatury to chybiony strzał, więc znaleźli zatrudnienie tu, ci, którzy tego nie zauważyli, więc wciąż piszą wiersze w ukryciu, nawet przed samym sobą, i ci, którzy próbowali nauczać w szkole, ale zauważyli, że dzieci są mądrzejsze od nich.

Dyrektor uprzejmie objaśnił procedurę, która polegała na założeniu kapci i przechodzeniu kolejno przez wszystkie działy w budynku, co rozpocznie się na całego dopiero jutro, więc teraz mogę spokojnie iść do hotelu, aby się rozpakować, a on już się postara znaleźć mi jakieś przyzwoite pomieszczenie na dłużej.

Tractatus Mosquitos

Przekład ten dedykuję mojemu ojcu.

Tłumaczka

Wracalem z mostu nie zrobiwszy tego, uczucie niepokoju jeszcze nie minelo, wielka woda zawsze go wywołuje, tak, jak mechanizm zegarowy wywołuje ptaszka na zewnątrz, niebo natarło na ziemię, słońce w jakiejś mysiej dziurze czeka na swoją porę, znowu mi się nie udało i nie miałem dokąd pójść – wszedłem do najbliższej knajpy. Nie zdążyłem przeczytać nazwy „Obsession”, albo mnie nie zainteresowała. Zatrzymałem się na progu, w środku nie było niczego, co by mnie przyciągało, może oprócz napisu: „Kredytu udzielamy tylko osobom powyżej 85. (przekreślone 80.) roku życia, koniecznie w obecności jednego z rodziców.”

Odwrócony plecami siedział człowiek w płaszczu, którego fasonu nikt już nawet nie pamiętał. Przy drugim stole siedział malarz z twarzą piłkarza, ściskając jedną ręką szklankę, drugą – butelkę piwa, w przerwie między dwiema czynnościami, zapewne zajęcia dostarczała mu chusteczka, którą przykrył głowę, z czterema supelkami zawiązanymi na bokach. Z błogim wyrazem twarzy wypijał swój całodzienny posiłek.

Za barem siedziała zaniedbana kobieta, pozostałość po niegdysiejszej kobiecie, wsysała przez cybuch powietrze, które składało się głównie z dymu, rozkoszując się chyba tym recyclingowanym pijaństwem. Od czasu do czasu machała głową na boki, kłócąc się z upiorami, dając im do zrozumienia, że – co jest, czego tam ode mnie chcecie?



MITOPEJE

Człowiek z okrągłego placu

Myśl błądziła po wszechświecie – kwazary, kosmiczna cisza, konstelacje, komety, masa heliocentryczna, supernowe, powody powstania, czarne dziury – czemu nie, kosmiczne lustro, i komu oni kładą do głowy, że wszystko skupi się kiedyś w jednym punkcie, ten nie ma szans – zauważyłem go w okamgnieniu.

Wyglądał raczej jak znak drogowy, ulistniona gałązka. Kosz na śmieci, powiedzmy.

Potrząsnął mną przez kosmiczną rewizję, mijając go poczułem, że ma otwartą aurę, zabrał mi karmę, mantrę, kastaniety, wszystko. Wpadłem w jego pole grawitacyjne i zacząłem krążyć. Staralem się, aby była to spirala, po prostu byłoby to zbyt ewidentne krążyć wokół jakiegoś mężczyzny z aktówką w ręku ot, tak.

Aktówka była czarna, stara, zniszczona. On też. Miał ponad pół wieku. Według zegara kosmicznego to przecież nic. Twarz bez wyrazu, bez żadnego zamiaru, przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą, z drugiej ulicy na trzecią, z trzeciego budynku na czwarty.

Wróciłem z przerwy i – od razu podszedłem do okna w biurze. Stał tam dalej, na okrągłym placu. Kilka kroków w lewo, kilka w prawo. Kilka w przód, kilka do tyłu. Jakby się gdzieś wybierał, ale zawsze się zatrzymywał, odwracał tyłem.

Argo z Ogigii

Słońce się zwęglało, dzień ściekał, leniuchowałem, gdy nagle zauważyłem, że dok wypełnił się światłem. Oczekiwali na statek, to znaczy, że jest środa, jedyny dzień, który różni się od innych. Wtedy zbierają się ci, którzy mają, a szczerze mówiąc i ci, którzy nie mają tu nic do załatwienia. Z całej wyspy zbiera się w środę ta garstka turystów, którzy odjeżdżają, ich gospodarze, którzy ich odprowadzają, po drodze zabierali pocztę, kupowali cokolwiek spośród towarów, które dotarły razem z gadatliwymi kupcami.

Jedni odjeżdżali, inni przyjeżdżali.

Centaur

– Uauaaa!

– Uaayaaaaa!!

– Muauaaaaa!!!

– Szs–szs–szs to nic, Helenko, Helusiu... szs–szs–szs nic, nic, jestem tu, Helu, zobacz – to ja.

– A mama, gdzie jest mama?

– Wiesz przecież, że mama poszła kupić ci sukienkę i buty...

– A dlaczego jej nie ma, kiedy jeszcze wczoraj wyszła?

– Dlatego, że chciałaś dużą sukienkę i duże buty, wiesz, takie jak ona ma.

– A dlaczego nie przychodzi?

– No, bo przecież czeka aż dorośniesz i wtedy przyniesie ci duuże buty i duuzą sukienkę. Na co ci teraz duże buty, teraz jeszcze jesteś mała.

– A kiedy dorosnę?

– A kiedy przestaniesz zadawać pytania, co? Kto nakarmi bydło? Dziś niedziela i tata poszedł sprzedać Milanę, kto nakarmi kurczaczki, barany, Dżerego...

– Ja nakarmię kurczaczki...

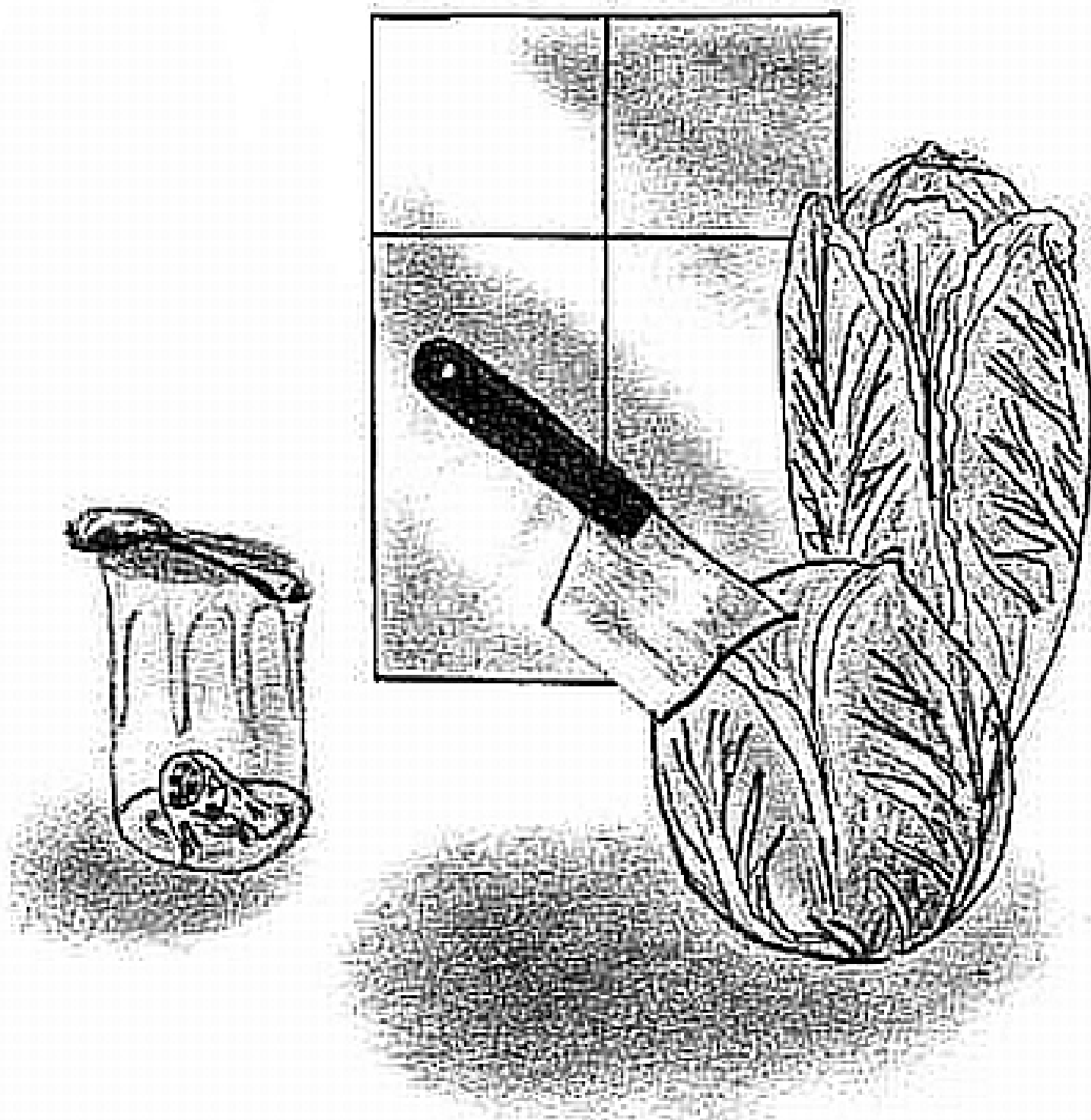
– Dobrze, a wiesz gdzie jest kukurydza?

– Wiem!

Zbiegła w pidżamie, zostałem siedząc jeszcze kilka minut na jej łóżeczku. Gdyby nie ona, łatwiej bym znosił śmierć matki, a tak, każdej nocy zrywa się ze snu, coś ją dręczy. A i ojcu nie jest wcale źlej. Tylko, że jemu jest trudniej na jawie. Nocą śpi i się nie szarpie. Tej nocy całkiem nieźle się zalał. Żał mu chyba Milanki, dobra była, posłuszna, ale jałówka, a ojciec mówi, że kilka razy ją prowadził do Mitara do jego Siwka i nic. Nie opłaca się jej dłużej trzymać. Przypadł mu też trudny obowiązek prowadzenia na targ matki Milanki. Micy. Była stara. Nie opłacało się.

Kołysanka dla Abła

- Mamo, mamol!
- Tu jestem synku, znowu te zmory?
- Tak mamol.
- A dlaczego nie chcesz mamie powiedzieć, o czym śnisz?
- Dlatego, że zawsze, gdy stamtąd wracam, jakiś wujek w bramie przejedzie mi tak ręką przed oczami i ja już nic więcej nie pamiętam. Właściwie to raz wujek o tym zapomniał.
- I...
- Ale i tak nie mogę ci powiedzieć, bo tak jakoś nie wolno...
- No dobrze to teraz leż i słodko śpij, już nawet małego braciszka obudziliśmy...
- A jak urodziłaś braciszka?
- Tak, że ja i tatuś tak bardzo się kochaliśmy, aż urodził się braciszek.
- To świetnie, to teraz ty i ja też będziemy mieli braciszka?
- No cóż...
- A jak się ty urodziłaś?
- Mnie urodziła moja mama z moim tatą.
- A ich?
- A ich urodziły ich mamy i tatusiowie. Opowiem ci pewnej nocy prawdziwą opowieść o twoim powstaniu...
- No to opowiedz teraz, proszę cię, opowiedz...
- Dobrze, ale nie zasypiaj przed zakończeniem tak, jak wczoraj, dobrze?
- Dobrze.
- „Dawno, dawno temu, tak dawno, że już nikt nie pamięta, żyła sobie rodzina...”
- Jak to możliwe, że nikt nie pamięta, a ty opowiadasz...



LE BEAU EST TOUJOURS BIZZARE

Dwa palce pod sercem

Drzwi były uchylone, a z mieszkania dobiegał wrzask, jakby żeńskiej czeladzi zdzierano skórę z pleców, gdy Szawez po dłuższej nieobecności wrócił do domu. Dotknąwszy drzwi przypomniał sobie, że były wyważone tuż przed jego wyjazdem. Ale skąd to rzenie z salonu.

W przedpokoju pojał, że to na pewno jakiś przebój, bo naraz dało się słyszeć też westchnienia i okrzyki:

– Ach, och, yyy... – Nie tak od razu odrzucił myśl, że ktoś już się tu wprowadził, myśląc, że to jakiś dziwny przypadek.

Ale na fotelu siedział onanizując się, jego przyjaciel Zujo i gapił się w ekran, z którego było słyhać:

– Aaaaach... zo... schnell, schnell... fantastichen...

Przestraszył się, gdy go zobaczył i wybełkotał:

– A ty tu skąd?!

– Ja naprawdę przepraszam, nie miałem zamiaru nikogo niepokoić... i najpokorniej proszę, żeby nie wziąć mi zło, iż zauważę pewną nieważną, rzecz by można, iż zupełnie bez znaczenia, drobnostkę – że znajduję się we własnym mieszkaniu...

Listy z kraju

To nie jest miejsce dla mnie. Nie cierpię zamkniętych przestrzeni. Szczególnie przestrzeni bez widoku na świat. Tu nie ma nawet okna.

Krzyknąłem, chcę stąd iść. Była chyba późna noc, nie wiedziałem nawet, jaka to pora. Nie śpię, szczególnie odkąd tu jestem.

Nie dostałem odpowiedzi. Tylko światło mrugnęło. Przywykłem, że jestem sam, ale dziwna to samotność. Co ja tu robię?

W istocie siedzę na twardym posłaniu z rękami na krawędziach, ze zwiśniętymi nogami, rozmyślam. Rozmyślam, ale nic nie mogę wymyślić. Pamiętam że...

Pamiętam, że ściągnęli mnie z łóżka, minęło południe, a oni pracują, pracują od wczesnego ranka, sprowadzają tak ludzi z łóżek, zrywają ich z nieświadomości, nieogolonych, bez mycia zębów, z zaropiałymi oczami, z poranną erekcją, bez porannej kawy. Wyprowadzają ich szybko, skutecznie, bez długiego gadania, w kurtkach ze skór niewinnych byków, w ciemnych okularach, z równością równą tej z czasów Sojuszu. Wyprowadzają ich w pidżamach, (w których można znaleźć świętej pamięci notes z kawałkiem ołówka), przez szpaler zblazowanych sąsiadów, zagrzybiony budynek z kiczowatą fasadą i wrzucają w tę przestrzeń, wstawiają do tej twierdzy, legowiska i pozwalają łamać głowę w poszukiwaniu winy. Ale nie byle jakiej winy. Takiej, jaka jest im potrzebna.

A któż jest bez winy?

Któż jest bez winy? – zapytał Jezus, kiedyś dawno temu, podczas kamienowania.

Aleja spleenu

– Wolne?

– Tak, tak, a jakże...

– ...

– Boję się, że będziemy musieli przejść za bar, albo co gorsze, do jakiegoś stołu, gdzie już ktoś jest. Ludzie są bezwzględni, mogliby na nas usiąść. Ale przepraszam bardzo, a jakim to prawem? – wypił ostatni łyk z filiżanki, która tu została, po czym przeszli do drugiego stołu i siedli bez słowa.

– Miałam się tu spotkać z narzeczonym.

– I co...

– Niestety. – Odwróciła głowę, aby ukazać głęboką bliznę.

– Współczuję, współczuję...

– Pan?

– Słucham?

– A pan?

– Ach, ja... tak. Zaduma, zwykła zaduma nad przeszłością. W istocie ni-jak nie może mi przejść ochota na tytoń. I kawę. Mocną kawę. – Odwrócił się i ku oburzeniu sąsiada napił się z jego filiżanki. Aż do dna. – Po prostu nie mogę wytrzymać. Przez ostatnie lata walczyłem i z jednym i z drugim. A teraz oto, nie mogę. Ani bez jednego, ani bez drugiego.

– ...

– Pani jest piękna... a z tym... z tym jeszcze piękniejsza. Nadaje pani jakąś aureolę cierpienia, tak jakoś.

– Dziękuję panu...

Gnój

Wymiotowanie, w istocie, nie jest wcale ani trochę szkodliwe. Wręcz przeciwnie – jest to pożądane. W rzeczywistości jest to lewatywa, tylko że z drugiej strony. Organizm oczyszcza się z trującej materii, kwasów, wyrzuca nadmiar jedzenia, jednym słowem – przyroda urządziła to wszystko tak, jak trzeba – rozmyślałem głośno, w spazmach wyrzucając resztki, całe kawałki nie strawionych produktów spożywczych – cebula, pomidory, kotlety mielone, wszystko to wylewało się po murze ogrodzenia na śnieg.

Żryjcie, wy tylko żryjcie i nie wstydźcie się, dla dobrych psów nie ma złych pomysłów, myślałem o swoich porannych przyjaciółach, ulicznych kundlach

– W niczym nie jesteś lepszy od nich...

– Fuj, strrraszne, strrraszne...

Uciekaj do swojej roboty kanaliu bydlęca, gnido proletariacka. Filarze społeczeństwa... myślałem, że to wypowiadam, ale w rzeczywistości tylko charczałem, dalej wyrzucając śniadanie dla psów.

Zataczając się i kołysząc zbliżałem się do słodkiego mego, domu. Tak myślałem, a w rzeczywistości znalazłem się w jakiejś całkiem nieznannej mi, okolicy. Mimo że było mi wszystko jedno – bo zgubić się we własnym mieście, czy we wszechświecie, co to za różnica? – poczułem dyskomfort. Chociaż czuję się zagubiony już od dłuższego czasu, nie jest wcale łatwo odczuć to fizycznie.



Dejan Vukicević ur. w 1965 roku w Kralje-
wie (Serbia). Ukończył studia na Katedrze
Literatury Światowej i Teorii Literatury w
Belgradzie. Pracuje w Serbskiej Bibliotece
Narodowej.

Opublikował zbiory opowiadań: *Żałoby* (*Koro-
ta*, 1998), *Aleja dziwacznych posagów* (*Aleja
bizarnih kipova*, 2002), *Odurzenie* (*Omama*,
2007), oraz powieść *Cierni* (*Bodilo*, 2005).

Dwa z jego opowiadań (*Circulus vitae* i *Człó-
wiek z okrągłego placu*) zostały opublikowane
w polskim przekładzie w czasopiśmie "Portret".